Do № 265 porannego. Sobota 27 września 1930 r.



Rys. S. Norblin.

SIEWNA PANI.

Przez zorane, przez zagony
Idzie Jasio mały.
Promień słońca drogę złoci,
A świat cudny cały.

Na dziecięciu świtka szara,
W ręku nasion szmata,
Idzie obsiać swe zagony,
Tam, gdzie ojców chata

Chyli Jasio główkę złotą
Ku rodzinnej ziemi,
Zasypuje ją, najsłodszą,
Ziarnami złotemi.

Lecz wnet pada wątłe dziecię,
Jak lilijka biała;
Omdlewają rączki, nóżki;
Drży dziecina cała.

— O Ty, Siewna, Przenajdroższa,
Pani Ukochana,
Dodaj siły mnie, małemu,
O! Niepokalana!...

I spłynęła z niebios Siewna
Przenajświętsza Matka;
Lśni w promieniach złotych cała,
Jak śnieg biała szatka.

Utuliła w swych objęciach
Mdlejącą dziecinę,
Prowadziła poprzez łany
Maleńką kruszynę.

Z dłoni świętych, przecudownych
Ziarenka padają,
Pola całe, niby złotem,
Ziarnem okrywają.

Znikła Siewna — dziecię klęczy;
Złożone rączęta...
I wyszeptać tylko zdoła:
Święta... Święta... Święta...

El. Korotyńska.

W LESIE.

Na polance, w ciemnym lesie, gdzie rozpostarł dąb konary — ma królestwo pięknych grzybków król Borowik władca stary.

Król Borowik od wiek wieków, tron zajmuje na mchów pluszu, lecz korony nie chce włożyć, tylko chodzi w kapeluszu. Król Borowik od wiek wieków władca jest grzybowej rzeszy, wszystkim wartość jego znana, poważaniem król się cieszy. Choć napozór on samotny, w głębi lasu jest ukryta, na rozkazy pana czujna, armja i przyboczna świta.

Król Borowik ze swą żoną, panią imć Borowikową, czuwał nad krainą grzybków i zarządzał nią wzorowo. Ale zawsze obojętna i ponura jego mina, bowiem dotąd, nadaremnie, oczekiwał władca syna.

Aż nareszcie dnia jednego zadzwoniły leśne dzwonki! — Kiedy wiatr rozsuwać począł białe rannej mgły koronki, kiedy słonko wypuściło promieniste, złote strzały — z wilgotnego piasku wyjrzał borowiczek, grzybek mały. Borowiczek tyci, tyćki — ledwo widać go przy ziemi...

Prędko w rosie go wykąpać kropelkami srebrzystemi! Prędko, prędko mu zgotować zieloniutkie w mchu posłanie!

Co za radość! Król Borowik ucieszył się niesłychanie. Stracił wygląd swój ponury, łaski wszystkim dziś użycza i wspaniały bal wydaje dla uczczenia królewicza.

Dzyń, dzyń! Dzwonią leśne dzwonki. Uroczystą wieść wiatr niesie i motylki, króla gońce, uwijają się po lesie. Zanim słońce ukończyło swą wędrówkę po błękicie, na polance bal się zaczął i udał się wyśmienicie.

Gdy na miejscu się zebrała cała leśna już gromada, zaczął się marsz wojsk grzybowych i przed królem defilada. Najpierw szli paziowie króla — „kurki“ w żółtych kostjumikach. Szli, schylając się w ukłonie, przygrywała im muzyka. Potem szły piechoty pułki, szara, skromna brać grzybkowa... Każdy pułk odmienną barwę kapeluszy miał na głowach. Więc koźlaki smukłe, zgrabne, i zajączki, i olszaki. A na końcu marudery nadążały im, maślaki.

Cisnęły się i najlichsze, marne ciury obozowe, różne bedłki i purchawki,

Właśnie wódz-rydz zaczął mowę. Bo od mowy uroczystość każda zawsze się zaczyna. Ale hucznie i buńczucznie szli ułani w karmazynach.

Od czerwonych muchomorów aż zawrzało na polanie. Próżno rydz zaczyna mowę: „Mości królu, mości panie...“ Nikt nie zważa, nikt nie słucha, bo z muzyką i paradą pułk ułański, muchomory, muchomory kraśne jadą!

Świerszcze marsza im zagrały — aż król nabrał animuszu i też zaczął maszerować w przekrzywionym kapeluszu. A po marszu walc i mazur, krakowiaki, obertasy, konik polny na skrzypeczkach, komar — flety a bąk — basy.

Rozpoczęło się pląsanie, a tupanie, a podrygi! Bo kapela gra od ucha, nie żałuje swej fatygi.

Poszedł w pląsy rydz z pieczarką, koźlak z bedlką, maślak z kurkiem. Prosić nawet do oberka mała żabka chce jaszczurkę.

Hej wesoło, bo wesoło! Brzęczą muszki, huczą bąki, a najgłośniej brzmi kapela żab zielonych z ponad łąki.

Hejże, hejże, mazureczka! Obertasa! Danać, dana! Byliby tak tańcowali przez noc całą aż do rana. Ale księżyc w złym humorze, nie chciał świecić im niecnota i za chmurą uciął drzemkę...

Więc odeszła im ochota. A znużony król Borowik ziewnął zaraz na mchów pluszu i najpierwszy zaczął chrapać w przekrzywionym kapeluszu.

Alina Kwiecińska.

POLNA MYSZKA.

Już po siewach.
Jeśli wola,
pójdziem sobie, dzieci, w pola,
na zorane ściernie, rżyska,
gdzie po miedzach kłos połyska.
Będziem biegać tam i tu,
póki nam wystarczy tchu.



Rys. M. Wisznicki.

Patrzcie! patrzcie!
Ktoś tam bury
smyrknął prędko z jakiejś dziury,
na dwóch łapkach sobie siada,
kłos podnosi, ziarnka zjada.
Kto to taki?
Czyż to, czyż
nie maleńka, polna mysz?

Myszko, myszko!
Jak Bóg w niebie,
wszystkie kłoski te — dla ciebie.
Jedzże sobie, myszko mała;
niepotrzebnie-ś się nas bała.
Zanieś takie drugie źdźbło,
dzieciom twym, co w norce śpią.

Tylko nie właź nam, jak złodziej,
do śpiżarni — tam kot chodzi.
Piesek biega wkoło sadu;
chaps — i z myszki ani śladu!
Lepiej, myszko, uszki stul
i siedź w norce pośród pól!

Antoni Bogusławski.

W ogródku Jordanowskim.

Co się stało? Niebo było przecież takie niebieskie, aż granatowe. Gdzie się podziało? Teraz takie ołowiane. Słońce tak wysoko stało i paliło. Teraz chowa się za chmury — nie chce grzać. Wiatr pogania liście — i taki smutek rozpina skrzydła, tak się coś wlecze i mgli. Co się stało?... Nic wielkiego — nic się nie stało: Tamto było lato — to, co widzisz, opowiadasz — to jesień! Słońce było pod znakiem koziorożca i raka, to piekło. — Dziś od nas ucieka, dziś nas znać nie chce, to wszystkim smutno i drzewom i dzieciom!

Patrz, jak kwiatki pochyliły główki, tak jak dzieci i to samo westchnienie wyrywa się z ich kielichów, co z piersi ludzkich kwiatków: —dzieci. — „Lato uciekło! szkoda! — niemasz go!“

...„Czas do szkoły, czas! — zabawili nas! Do szkoły! do szkoły, miły bracie! Tam nauka, wiedza czeka na cię!“...

...Renata codziennie jest w ogródku Jordanowskim. Nie wyjechała nigdzie na lato, bo jej ojca, skromnego urzędnika, nie stać było na to. Ogródek Jordanowski pokochała i zna wszystkie jego dziecinne tajemnice i rozkosze. Czuje się w nim, jak u siebie w domu, lepiej nawet. W domu trzeba się tak cicho zachowywać. Tatuś sypia po obiedzie, mamusia musi mieć spokój, a tu wolno i skakać i głośno wołać i wspinać się po trapezach i różne, różne mieć przygody! Gdy tylko rano wstaje, a mieszka przy placu Unji Lubelskiej — przychodzi po nią Mademoiselle France, mała Francuzeczka, pod której opieką spędza przedpołudnie na wolnem powietrzu. Mała France robi swoje hafty Richelieu, Renata zostawiona sama sobie, odwiedza po kolei, różne strony Pol-

ski, gdzie już niegdyś z rodzicami była, i które tu sobie po zakątkach wyimaginowała: Przy tym basenie z pysznym, żółtym piaskiem, gdzie może się zakopać cała z bosemi nóżkami, które on tak grzeje — to jej Radłowo — przy tamtym pawilonie Okopy Św. Trójcy i zdala widna forteca— Chocim. Ulubione to pomysły dziewięcioletniej Renaty. Ale co się na tem zna wychowawczyni— towarzyszka Francuzeczka! Niema jej nawet co opowiadać! Ona porównywa tylko z Sables d'Olonne! — a to znów na Renacie nie robi wrażenia. O, Radłowo to co innego! Dlaczego tylko w Gdyni ma być port? Ona pracowitemi rączkami buduje go i w Radłowie! Niech będzie drugi polski port! Czy to Francja ma jeden Hawr tylko? — mówi ta Francuzeczka; to Renacie wstyd, że Polska ma tylko jeden port i czemprędzej dźwiga drugi, tymczasem „na niby", ale przecież wszystko jest najpierwej „na niby", a potem naprawdę! I św. Teresa najpierwej „na niby" bawiła się w budowanie klasztorów i cel, a później naprawdę stała się zakonnicą. Renata też tu lubi w ogródku takie pokratkowane trapeziki czworokątne sześciany, równiutkie, zgrabniutkie, wymierzone jak celki. Nazywa to klasztorkiem i gdy upał na świecie dokuczy, chroni się w tych swych celkach. Cichutko, powiewnie, lekkuchno, jak łątka wodna, prześlizguje z jednej w drugą i myśli, jak tu zacisznie... Pewnie św. Teresa myślała to samo i przed skwarem życia wślizgnęła się w taką celkę!...

A tam chłopcy robią szwadrony: błękitne, czerwone... Zwyczajnie, jak chłopcy, lubią wojnę! Renata nie lubi, choć ten komendant, co wywija żółtą chorągiewką po błoniu — harcerz Gwido — mówi, że na to się żyje, żeby umrzeć, więc lepiej chwalebną śmiercią.

Wśród lata Renata zachorowała. Angina. Gorączka. Dowidzenia ogródku Jordanowski! Leżała i tylko o nim myślała. Kochany ogródek! Co się tam dzieje? Czy jaskółeczki fruwają nad główkami dzieci, gdy te zajadają smaczne śniadanka? Czy wojsko chodzi po błoniu? Czy Gwido musztruje? A stróż przy bramie, czy zauważył, że Renata już cztery dni opuściła? Cztery dni! Och, jak to długo! Może posłać France zobaczyć, czy port nie uszkodzony? Czy forteca w Chocimiu stoi? Burza była w nocy — czy szkody nie narobiła w Królestwie Renatki? Nie warto! Francuzka i tak na tem się nie pozna!... Trzeba czekać. Tatuś, zmartwiony chorobą jedynaczki, pytał, co jej przynieść na osłodę i przykrego lekarstwa, i pendzlowania gardła, i przymusowego więzienia. Może niedźwiedzia za towarzysza niedoli?... Może żabkę wypchaną, ślicznie zieloną? Renata kręciła przecząco główką i dziękowała za wszystko: „Nic nie kupuj, Tateczku, nic nie potrzebuję, nic nie chcę." „Jakto! nic niema, coby ci sprawiło przyjemność?" „Owszem, ogródek Jordanowski! mój kochany ogródek! Daj mi iść, Tateczku." Ale Tatek tego nie mógł dać, ani pozwolić. Trzeba było słuchać pana doktora, czekać na słonko i aż choroba sobie pójdzie za dziesiątą górę... Bo to angina, to wygnać ją za trzecią górę, jeszcze gotowa wrócić, taka uparta! A Mamusia nie chciała, żeby angina wróciła do córeczki. Więc w nocy, gdy miała gorączkę, nieraz wołała: „Ja chcę do ogródka Jordanowskiego! Dlaczego ten stróż mi nie daje wejść? Wysyła takie czarne kruki, a one mnie podziobią! Mamusiu, puśćcie mnie do ogródka!"...

W końcu, w końcu Renata wyzdrowiała. Słoneczko przypomniało sobie Warszawę, zjawiło się po mnogich deszczach i znów mogła Renata kopać i zjeżdżać po desce z góry na dół tak wesoło.

Pewnego dnia biegała tak od jednej deseczki do drugiej, chcąc i tu spróbować szczęścia i tu, bo już coraz krócej można było bawić w ogródku. Dzionek uciekał niewiadomo dokąd, — nie wiadomo, co się z nim robiło? Nagle się kończył i był mrok i trzeba było wracać do domu. A co listki wyprawiały! Wiatr je chwytał i pędził przed sobą i kręcił tak niby zabawnie, a w rzeczy samej— smutno — w kółko... w kółko... Renata leciała za niemi i chciała kręcić się tak samo, ale ktoby tam nadążył listkom!... Zresztą one nie mają główki, która przeszkadza Renacie w takiem kołowaniu!... Ale aż smutno patrzeć, żeby tak ktoś nic siły, ani woli nie miał, jak te listki, nie mogące oprzeć się wiatrowi.

Słonko jeszcze świeciło, dzieci uwijały się, jak zawsze, jadły bułeczki i owoce, nianie szyły i haftowały. Ale trapezy i huśtawki stały takie już smutne, straciły swój urok i blask, jakby przeczuwały koniec radości i wesela...

I listki kręciły się wciąż w kółko i w kółko...

Marta Mrozowska.

Podróż ślimaków.

W szklanym słoju mały Jasiek,
Wiezie ze wsi dwa ślimaki —
Czy się aby nie poduszą
Te pocieszne nieboraki?

Trzęsie się autobus wielki,
Woda bryzga ze słoika,
Przerażony Jasiek rączką
Słoik szczelnie wciąż zatyka.

Co się stanie, co się stanie,
Jeśli mu wypadnie który?
Nie bój się, Jasieńku mały,
Toć nie będzie w niebie **dziury**!

Jasio patrzy przez szkło bacznie,
Co się dzieje w jego słoju —
Zamęt straszny! Ani marzyć
O chwileczce tam spokoju!

„Chyba wyjmę me ślimaczki,
Na kolanach je położę?"
„Co za pomysł, mój Jasieńku,
Przecież zdechną, mój ty Boże!"

I tak źle i tak nie dobrze,
A Warszawa wciąż daleko...
„Konduktorze! — Jasio woła —
Proszę stanąć tu, nad rzeką!"

Stanął więc autobus ciężki —
Dziwią temu się ludziska —
Jasio ze słoikiem w ręku
Między ławki się przeciska.

Biegnie szosą, biegnie polem,
I pod dziką staje gruszą —
Rozstać trzeba się z zdobyczą,
Wszak ślimaki też żyć muszą!

Więc po jednym je dobywa
I w wilgotnym kładzie mule,
Z każdym żegna się serdecznie,
Mówiąc coś do niego czule.

„Nie mam serca brać was z sobą,
Żyjcie sobie na swobodzie,
Wszak wam lepiej, niż w akwarjum
W tej płynącej, czystej wodzie!

O to, że was zabrać chciałem,
Nie miejcie już żalu zatem —
Wrócę do was tu napewno,
Może wiosną, może latem!

Wciąż milczycie? Ciągle na mnie
Trwa, ślimaczki gniew wasz srogi?
Ależ gdzietam! Na znak zgody
Pokażcie mi wasze rogi!"

Więc ślimaczek z swej skorupy
Ku Jaśkowi się wychyla,
Jednym rożkiem, potem drugim,
Milczek wdzięczy się, przymila...

W chwilę później już autobus
Pędzi naprzód całą siłą —
Nic dziwnego — pasażerów
Wszak nam naraz dwóch ubyło!...

Z. Rabska.

CZAO - RA.

OPOWIEŚĆ PÓŁNOCNA.

(Ciąg dalszy.)

Z nasadek i innych sideł codziennie wyjmował duże, białe lisy o pięknych, puszystych skórach i wspaniałych kitach.

Pewnego razu, obchodząc nęciska z przynętą, położoną koło zasadzek, ze zdziwieniem posłyszał brzęk żelaza i jakieś głosy jękliwe. Szybko pobiegł naprzód i ujrzał dziwne widowisko.

W potrzask trafił zając-bielak i zaczął krzyczeć. Na jego głośne skargi przybiegł lis, porwał zająca wraz z żelazem i o kilka kroków dalej sam wpadł w sidła.

Marusz z niecierpliwością oczekiwał zorzy polarnej.

Przy jej świetle zamierzał zapolować na niebieskie i czarne lisy.

Są to bowiem zwierzęta bardzo ostrożne, czujne i nie posiadające tej niebezpiecznej wady, jaką jest ciekawość, którą w najwyższym stopniu odznaczają się białe lisy, wskutek tego tępione z łatwością nietylko przez człowieka, lecz i przez niedźwiedzie, wilki i rysie, gdy te drapieżniki wychodzą na łowy na bezgraniczne przestworza tundry.

Biały, czyli polarny lis, widząc coś nowego dla siebie i niezwykłego, jak naprzykład, stępicę, umieszczoną w śniegu, człowieka, lub skradającego się wilka, natychmiast zbliża się i nieruchomo przygląda się niewidzianemu nigdy przedmiotowi lub istocie.

Nie czynią tego nigdy niebieskie i czarne odmiany lisów.

Żyją one w rodzimej tundrze parami, nigdy nie łączą się w większe zgraje, starannie omijają miejsca otwarte, kryjąc się w gąszczu nędznych krzaków północnych i unikając z wielką przebiegłością niebezpieczeństwa.



Rys. M. Wisznicki.

Przy pierwszej zorzy polarnej, wyruszył Marusz na polowanie. Ujrzawszy dużą przestrzeń, zarośniętą karłowatemi brzozami i twardą, zmarzniętą trawą, myśliwy pozostawił Czao-Ra na skraju haszczy, sam zaś obszedł ją dokoła i, spostrzegłszy na śniegu wydeptany przez zwierzęta przesmyk, gwizdnął cicho.

Czao-Ra, nie szczeknąwszy ani razu, zaczęła czołgać się wśród krzaków, robić zygzaki i zataczać koła.

Napędzała zwierzynę, kierując ją na myśliwego.

Z łopotem skrzydeł zrywały się stadka pardw; z krzaków co chwila wypadały spłoszone bielaki; kilka razy śmignął biały gronostaj, znacząc się na skrzącej się powierzchni śniegu czarnym końcem cienkiego ogonka; wychodziły, ociągając się, zaciekawione, zupełnie nie płochliwe, białe lisy.

Marusz stał jak posąg i nie strzelał.

Zwierzęta brały go, z pewnością, za pień drzewa lub za wystający z ziemi kamień, bo nieraz

przechodziły tuż przed nim, a jeden zając nawet przykucnął koło jego nogi i, dopiero zwęszywszy żywą istotę, czmychnął w popłochu.

Marusz czekał na lepszą, cenniejszą zdobycz.

Nadzieja nie zawiodła go.

Z pomiędzy krzaków, gdzie przechodził trop zwierzęcy, wysunęła się czarna głowa. Po chwili wynurzyła się zupełnie. Łowiec poznał czarnego lisa. Był to duży samiec. Stał nieruchomo, zwróciwszy oczy w stronę Czao-Ra i nadsłuchując. Wciąż patrząc poza siebie, płaszcząc się na śniegu, sunął coraz bliżej ku myśliwemu.

Trzydzieści kroków dzieliło Marusza od pięknego, rzadkiego zwierza, gdy rozległ się huk wystrzału i ugodzony kulą lis zaczął się wić na ziemi.

Marusz nie posiadał się z radości.

Skóra zwierzęcia zupełnie czarna, ozdobiona srebrną siwizną na grzbiecie miała około 1½ metra długości i należała do tych, które są cenione niemal na wagę złota.

Myśliwy, zasypawszy krew śniegiem, oczekiwał drugiego lisa, który niezawodnie musiał wyjść tym samym przesmykiem.

Nie pomylił się w swojem oczekiwaniu doświadczony Marusz.

Daleko mniejsza, lecz też zupełnie czarna samka, nagle wypadła z krzaków.

Marusz strzelił, lecz lis pobiegł dalej.

Idąc jego śladem, myśliwy spostrzegł krople krwi na śniegu.

Zwierz dostał postrzał. Marusz posłał Czao-Ra w pościg.

Po dwu godzinach dopiero szpic zaczął nadszczekiwać i wyć przeciągle, wołając myśliwego.

Marusz znalazł Czao-Ra, siedzącą nad lisem, który padł od kuli, odbiegłszy jednak kilka kilometrów, klucząc po tundrze w rozpaczliwej ucieczce przed ścigającym go psem.

Długo pozostawał Marusz na północnej równinie, obracając się na nieznacznej przestrzeni. Wiedziony łowieckim instynktem w tundrze, trafił łowiec do takiej okolicy, gdzie znalazł rozrzucone na płaszczyźnie gąszcza krzaków, przedzielonych szerokiemi pasami pozbawionej roślinności ziemi, najeżonej wysokiemi kępami torfowemi.

Tylko niemądre zające i ciekawością gnane białe lisy odważały się wychodzić na otwarte miejsca, zaś niebieskie i czarne lisy trzymały się w zaroślach, nie opuszczając ich.

Zbadawszy to dokładnie, Marusz obejrzał wszystkie przesmyki zwierzęce i ułożył sobie dobrze obmyślony plan.

Pierwszem jego zadaniem było urządzenie stałego „nęciska".

W tym celu na skraju haszczy w jednem i tem samem miejscu codziennie kładł pojmanego we wnyki zająca. Lisy pożerały go przez noc. Myśliwy starannie dostarczał im pożywienia, a po kilku dniach przekonał się, że lisy z całej okolicy przychodziły na nęcisko jednym tropem. Świadczyła o tem szeroka ścieżka, wijąca się wśród zarośli.

Wtedy Marusz zaczął robić „zasiek".

Robota polegała na tem, że ścinał na skraju zarośli grubsze krzaki i przegradzał niemi wszystkie uboczne przesmyki, pozostawiając tylko jedno, szerokie, dobrze już znane zwierzętom wyjście, prowadzące od nęciska na płaszczyznę.

Po zamknięciu drobnych ścieżek i nawet pojedyńczych tropów, myśliwy porozwieszał na krzakach, rosnących na skraju haszczy, barwne szmatki, które wesoło powiewały przy każdym podmuchu wiatru.

Przed przesmykiem, biegnącym od nęciska, Marusz długo i starannie rozstawiał sieci, wieszając je na mocnych „rozporkach"; przy końcach zatarasowanych ścieżek umieścił pętle i stępice.

Zostawiwszy po raz ostatni przynętę na nęcisku powrócił do swego obozu.

Po trzech godzinach powrócił, trzymając na smyczy Czao-Ra.

Miał przy sobie karabin i długi drąg.

Pozostawił psa na początku zarośli, sam zaś obszedł je z drugiej strony i gwizdnął przeciągle.

Teraz zaczął szybko ślizgać się na nartach, poklaskując w dłonie i słysząc, że Czao-Ra też biega dokoła krzaków i zrzadka poszczekuje.

Wreszcie, spostrzegłszy coś, Marusz pomknął ku zastawionym sieciom.

Były już zrzucone, a w nich szamotało się aż pięć białych lisów i dwa rude, coraz bardziej plączące się w rzemiennych okach.

Uderzeniem ciężkiego drąga uspokoił na zawsze miotające się zwierzęta, które już zaczynały przegryzać pętające je rzemienie.

Zgarnąwszy na bok sieci i zabite lisy, Marusz ustawił się naprzeciwko przesmyku i krzyknął donośnie:

— Urr!

(D. c. n.) **F. Antoni Ossendowski.**

Najmłodszy z wydawców.

(Zdarzenie prawdziwe).

William J. Marsch urodził się przed 11 laty i mieszkał w New Milford w Ameryce w stanie Conniecticur. Jak każdy 11-letni chłopiec, chodził do szkoły, uczył się, psocił też od czasu do czasu, no — wiadomo — zdarza się to. Ojciec kochał go bardzo, i radość wielka bywała w domu, gdy obdarzał swego syna podarkami.

Pewnego razu otrzymuje mały William maleńki aparacik drukarski ze czcionkami, który kosztował prawie pół dolara. Uciecha — jak nigdy jeszcze. Co z tem można zrobić? — Można przecież drukować, jak dorośli to czynią, i swoje imię i nazwisko, a może udałoby się i maleńką gazetkę wydać z własnemi artykułami — a może książkę nawet?.... Tysiące pomysłów chodzi po głowie, co jeden, to poważniejszy.

Tak, naprawdę, nie będzie się bawił drukowaniem tylko nazwisk i imion swoich najbliższych i znajomych, jak to czynią zwykle dzieci, lecz wydrukuje.,. książkę, prawdziwą książkę i to o człowieku, którego uważa za najmądrzejszego, najbardziej zasłużonego dla jego ojczyzny —

Ameryki i dla świata całego, a zarazem za człowieka bardzo dobrego. Wybrał obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Hoovera i zaczął pisać książkę o nim, dzieje jego życia, czyli biografję. A gdy już czcionki były złożone w małym aparaciku, pobiegł William do znajomego drukarza, mieszkającego w mieście, uprosił o pozwolenie korzystania z linotypu i... zaczął druk prawdziwej książki. Tytuł jej „Our President" (Nasz Prezydent). Pierwsze egzemplarze, wykonane przy współpracownictwie młodszego o rok brata swego, rozdał William przyjaciołom i kolegom.

Chłopcy byli bardzo dumni ze swego kolegi szkolnego, nauczyciele winszowali pomysłu i połączenia zabawy z pożytecznem, bo na to, by napisać książkę, trzeba było jednak dużo przeczytać o Prezydencie Hooverze i o wiele więcej o nim wiedzieć, niż uczył nauczyciel w szkole. Jedni drugim opowiadali, iż William jest autorem i wydawcą.

Dowiedział się o książce także sam prezydent i zaprosił chłopca do siebie, do Białego Domu, prosząc jednocześnie o przywiezienie kilku egzemplarzy książki.

W towarzystwie matki i swego współpracownika, młodszego o rok brata, pojechał William do „Białego Domu",*) gdzie zgotowano na ich cześć przyjęcie bardzo serdeczne. Z wielkiem zaciekawieniem słuchał prezydent Hoover opowiadań chłopców o powstaniu książki, o tem, co przeczytali i czego się nauczyli z historji najnowszej Ameryki, zanim zabrali się do pisania, a w końcu sfotografował się razem z małymi autorami. Następnie sekretarz Hoovera oprowadzał gości po historycznej rezydencji. Po obejrzeniu wspaniałych pokoi, zaprosiła chłopców i ich matkę pani prezydentowa do swoich apartamentów.

Wizyta w „Białym Domu" zrobiła małego Williama sławnym. Wielu ludzi o nim mówiło. Szczególnie dzieci interesowały się bardzo młodym drukarzem. Ale najwięcej — aż do zmęczenia — zaznajamiali się z nim panowie z różnych redakcji pism. Chcieli wszystko o nim wiedzieć, naprawdę może nie mniej, niż to, co on chciał wiedzieć o prezydencie Hooverze, by napisać książkę. Panowie redaktorzy wypytywali przedewszystkiem o wizytę w „Białym Domu"; czy nie bał się prezydenta, czy śmiało odpowiadał, jak mu się podobała pani prezydentowa i t. d. bez końca. I każdy chciał płacić za to co powie, byle tylko jemu jednemu jak najwięcej powiedział, a inny... może poczekać. I fotografowali go na wszelki sposób, by najładniejszą fotografję umieścić w pismach. Doprawdy, rozmowy z redaktorami były strasznie męczące.

To też William w końcu krótko tylko odpowiadał: — Nie, nie bałem się naszego prezydenta wcale a wcale, był strasznie miły i taki przyjacielski, więcej nawet, niż nauczyciele w szkole. — A pani Hooverowa...? — Ależ taką jest, jaką powinna być żona i towarzyszka tak wielkiego człowieka, jakim jest prezydent. — Pieniędzy za wywiad z redaktorami? — Nie, on ich nie chce... ani myśli brać, bo przecież nie dla pieniędzy pisał książkę o prezydencie, tylko dlatego, że właśnie Hoovera uważa za największego, najmądrzejszego i najlepszego człowieka.

A czy książka, jaką ofiarował, była taka sama, jak te, które darowywał swoim kolegom — pytają redaktorzy.

O, co to, to nie! — odpowiada chłopiec rezolutnie. Dla pana prezydenta? Nie, to musiało być wydanie specjalne, nie takie, jak dla wszystkich, po 50 centów sztuka. Postarał się o nie w ten sposób, że poszedł do jednej z największych firm wydawniczych i tam wydano książkę na specjalnym papierze, lecz w kilkunastu zaledwie egzemplarzach, bo nie można takiego wydania książki pospolitować. Te egzemplarze nie są na sprzedaż, tylko na podarunki dla prezydenta i najbliższych.

Ale pozostało kilka z tych pięknie wydanych książek i za nie płacą już nie po 50 centów, lecz po 50 dolarów za każdą, a miłośnicy druków i rzadkich książek tak bardzo chcą je mieć w swoich bibljotekach, że gotowi są zapłacić i cenę podwójną, byle tylko je dostać.

Pelagja Michalska.

*) Tak się nazywa pałac prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w Waszyngtonie.

Bąk.

— Jestem bąk! Wracam z łąk!
Żądłem gryzę! Wszędzie wlezę!
— Utrapiony bąk!
Już powrócił z łąk!



Rys. M. Wisznicki.

Nad kaliną i nad trzciną,
I nad modrą wód głębiną
Bz, bz... brzęczę tak!
Komu to nie w smak,
Niech nie czeka, lecz ucieka!
A ja za nim w ślad! —
— Utrapiony bąk!
Powracaj do łąk! —

Nie, nie wrócę! Nie, nie wrócę,
Tu wesoły kąt!
Pełno bąków, os i trzmieli!
Tutaj dusza się weseli! —
— Uciekajże stąd!
Uciekajże stąd! —

Marja Okuliczówna.

SŁONECZKO.

Zajrzało słoneczko przez okno do łóżeczka Dzidzi. Spała jeszcze. Ale, gdy jasne złociste promyczki oświeciły jej oczęta, powieki zadrgały i powoli się podniosły. Dzidzia budziła się z uśmiechem na różowej twarzyczce.

Wyciągnąwszy rączki ku pochylonej już nad łóżeczkiem mamusi, podniosła się i dała jej na „dzień dobry" buzi. Trzeba było się umyć i ubrać.

Zaczynał się dzień dla niej. Czekały ją radosne zabawy i przejażdżki w wózeczku. Starsza jej siostrzyczka, Bożenka, idąc tuż obok, deklamowała często przy tej sposobności:

Na spacer do lasku wiezie Dzidzię niania,
od wielkiego blasku oczki jej osłania.

Bo też słoneczko naprawdę świeciło tak jasno, że Dzidzia aż oczki musiała nieraz przymrużać, lub szukać cienia. Mamusia przypominała jej wprawdzie, aby nie patrzała na słoneczko, bo oczki bolałyby bardzo, lecz Dzidzia i sama wiedziała, że nie zwróci oczek ku słońcu, bo łezki jej nie pozwolą. Próbowała kiedyś spojrzeć na piękne niebo obok słoneczka i nie mogła. W oczkach zebrało się odrazu tyle łezek, że musiała czemprędzej pochylić główkę ku ziemi.

Ale choć nie można na słoneczko patrzeć, to jednak gdyby nie jaśniało na niebie, nie byłoby tak radośnie i pięknie na świecie. Nie byłoby ani trawki zielonej, ani kwiatków pachnących tak mile, ani drzewek, ani ptaszków, ani białych lub barwnych motylków, ani kurczątek, biegających po podwórku.

Tęskno Dzidzi za słoneczkiem nawet gdy chwilowo któregoś dnia ukryje się za deszczowemi chmurami.

Ciepłą jesienią cały niemal dzień spędza Dzidzia na dworze. Nie trzeba się otulać, jak w zimie. W ciężkiem ubranku nawet poruszać się trudno. A teraz ma na sobie lekką tylko sukieneczkę, może więc łatwo biegać i tem weselej się bawić.

Cieszy się Dzidzia ze słoneczka i chciałaby, aby nigdy nie przestawało świecić. Słoneczko jednak codziennie się ukrywa i wtedy staje się wieczór, a gdy znowu się zjawi, jest rano.

Kończą się wraz z zachodem słoneczka zabawy. Dzidzia opuszcza ogródek i wchodzi do łóżeczka. Ściemnia się. Zbliża się noc.

Gwiazdki zamrugały, idą spać już dzieci;
będą znów biegały, gdy słonko zaświeci.

Zamykają się oczki zmęczonej Dzidzi i słodko usypia.

Franciszek Baturewicz.

NAUKA OSŁA.

Że też tego pana Jacka
dziwna chęć poniosła,
żeby sztuk najrozmaitszych
uczyć nawet osła!

Wszak już uczniak wie, że osły
to największe mruki,
wiecznie krnąbrne i niezdatne
do żadnej nauki.

Widząc, że mu już rozumu
nie napędzi niczem,
zaczął Jacek walić osła
długim, twardym biczem.

Ale mała była korzyść
z tych ciężkich potłuczeń —
zwłaszcza, że mistrz nie był mędrszy
niźli jego uczeń.

Józef Birkenmajer.



Rys. M. Wisznicki.

Rozrywki umysłowe.

Poniżej zamieszczamy zadania układu naszych małych czytelników.

REBUS KRAJOZNAWCZY

ułożył **Tadzik Durański** ze Słupcy.



DWIE ZAGADKI

układu **Marysieńki Nowakowskiej** z Piotrkowa Trybunalskiego.

I

Napisać nazwisko wielkiego poety niemieckiego — dwiema literami.

II

Co to za rzeka,
Jak Wam się zdaje,
Co wspak czytana —
Rybą się staje?

Termin nadsyłania rozwiązań, jak zwykle, 14-to dniowy.

Rozwiązanie zadania „Kropki", umieszczonego w Nr. 237 „Kurjera Warszawskiego Dzieciom".

Pierwsze wyrazy wierszyka brzmią: Wesołe, Iwonicz, teraz, a, jako, chociaż, i, ekstazą, próżne, rzućmy, obecnie, gdyż, ileż, swoim, zaledwie, każdy, oddał, lecz, nic, eolskie.

Początkowe litery tych wyrazów, dają właściwe rozwiązanie:

„WITAJCIE PROGI SZKOLNE!"

Dobre rozwiązanie nadesłali: Januszek i Krysia Bednarczykowie, Rysio Białkowski, Jerzy Bielenia, Zosia Bielska, Stanisław Chojnicki, Zbyszko i Januszek Danowscy, Tad. Dobrzański, Krysia Gąszczyńska, Bobuś Gdański, Bohdan Grodzki, Henio Jakubowski, Lili Jankowska, Mietek Jankowski, Lili Jarnińska, Zosia Jurewiczówna, Dziunia Kaniewska, Andrzej Kawalski, Hania i Krysia Kosmólskie, Wiesio Kozerawski, Jadzia Krauzówna, Tomek Larycz, Henryka Lewicka, Tadzio Lindorf, Jerzy Liwski, Dz. Machlejdówna, Bogdan Malinowski, Zosia Małecka, Zosieńka Morawska, Jadzia Millerówna, Krzysia Olfierowiczówna, Władzio Okęcki, Rena Ossolińska, Bogumił Pukiewicz, Jerzy Reutt, Ala Rosłanówna, Cesia Rudzka, Basia i Krysia Skrodzkie, Z. Sobotkowski, Basia Sporna, Orest Suraga, Mieczysław Szaniawski, Staś Szerszeniewski, Dz. Szulcówna, Elża Śliwińska, Januszek Tarnowski, Ira i Hala Vetterówny, Michał Walden, Juruś Wenda, Modzia Zaleska i Alicja Zybertówna — wszyscy z Warszawy, oraz z po za Warszawy: Danuta Jonsikówna i Jerzy Tetzlaw z Poznania, Lenusia Fryczówna z Lublina, Krysia Janczurówna i Kamilek Janiszewski z Kielc, Krysia Kosierkiewiczówna z Radomia, Marysieńka Nowakowska z Piotrkowa tryb., Wandzia Kowalska z Łomży, Stefa Tarnowska z Siedlec, Jerzy Sioło z Suwałk, Irenka Wojciechowska z Płocka, Krysia Pawłowska z Sosnowca-Milowic, Januszek Paszyński z Włocławka, Halka Jasia Kałużanka ze Skierniewic, Jaś Waściszakowski z Puław, Sławuś Domagała, Lusia Pilaska oraz Niunia i Bola Wielgoszówne — z Wielunia, Marysia Maciejko z Gąbina, Wusia Bełcikowska z Pułtuska, Haneczka Jastrzębska z Ciechanowa, Marychna Rankówna ze Stołpców, Zbyszek Prawicki z Sieradza, Jaś Biernat z Sandomierza, Wandzia Fronczakówna z Nowego Dworu, Jerzyk Rudnicki z Żychlina, Zosia Staniszewska z Makowa maz., Włodz. Korsak z Sarn, Halinka Maławska z Płońska, Moniek Ligier z Końskich, Tadzik Durański ze Słupcy, Jadzia Plucińska z Leśmierza, Haneczka Wasiewiczówna z Opoczna, Tadzio Nowakowski z Ostrowi Mazowieckiej, Oluś Lorek z Ostrówka, Ala Kajzer z Brwinowa, Marysia Pilawska z Widz Wileńskich, Szczerbo-Niefiedowicz z Połańca, Marychna Zdrodowska z Piastowa, Hanka Chmielewska z Milanówka, Basia Wróblewska cukr. Sójki, Jadzieńka Luchtówna z Lipowca Kościelnego, Hania Regulska z Zarybia, Zosia, Jasio i Wojtuś Pogorzelscy z Trzebienia, Jerzy Grzechociński z Bieniewic, Dzidzia Hertykówna z Tarchomina, Zochna Czubianka z Anina, Lesia Duszyńska ze Strzelec, Irenka Sokołowska z Łychowa, Ziazia Daszkiewicz z Reczkowa i Marychna Prądzyńska z Kościerzyna.

W drukarni „KURJERA WARSZAWSKIEGO", Krakowskie Przedmieście № 40.
Redaktorowie naczelni: Ferdynand Hoesick i Konrad Olchowicz. Wydawcy: **Feliks Mrozowski i Konrad Olchowicz.**